

***Eli, Eli* Wojciecha Tochmana jako portret filipińskiego ubogiego w oczach Europejczyka**

Hanna Czaja

*Uniwersytet Gdański, Wydział Filologiczny
Zakład Teorii Literatury i Krytyki Artystycznej
E-mail: hannaczaja3@gmail.com*

Tutor: dr hab. Magdalena Horodecka, prof. UG

*Uniwersytet Gdański, Wydział Filologiczny, Instytut Filologii Polskiej
e-mail: magdalena.horodecka@ug.edu.pl*

Słowa kluczowe: antropologia literatury, postkolonializm, międzykulturowość, obraz innego

W reportażu *Eli, Eli* Wojciech Tochman skupia się na najuboższej części mieszkańców Metro Manili, kompleksu kilkunastu miast połączonych ze stolicą Filipin, Manilą. W Podziękowaniach zamieszczonych na końcu książki autor wyjaśnia, jak zrodził się pomysł wyjazdu do tego azjatyckiego kraju. Nie stało za tym żadne dawne marzenie ani długotrwała fascynacja reportera, ale doświadczenie podróźnicze młodego fotografa, Grzegorza Wełnickiego, który pierwszy raz na Filipiny udał się w celu odnalezienia ukojenia po śmierci ojca. W motywacji Wełnickiego usłyszeć można echa uromantyczniania „dalekich, egzotycznych krain”, które – przesiąknięte „pierwotnym duchem” – pozwolą na pogodzenie się z własnym cierpieniem. Fotograf, po przeczytaniu w Internecie artykułów o ludziach, którzy żyją na grobach swoich bliskich, oczekiwał, że nauczą go oni obcowania ze śmiercią w prosty, codzienny sposób. Prawda bardzo go zawiodła. Poznawszy

opowieść Wełnickiego, Tochman postanowił wyruszyć z nim, aby poznać mniej znaną stronę kraju kojarzącego się raczej z rajska, tropikalną naturą niż z tysiącami ignorowanych przez świat nędzarzy.

Charakterystycznym sposobem przedstawiania bohaterów i historii jest u Tochmana oddawanie rozmówcom głosu. Autor wyróżnia graficznie ciąg ich wypowiedzi, wydzielając je w osobnych akapitach i rozpoczynając oraz kończąc wielokropkiem. Sygnalizuje w ten sposób, że teraz zawiesza jego „wersję”, redukuje zewnętrzne obserwacje, a zaczyna dawać pierwszeństwo opowieści osoby, której życie poznajemy. Najczęściej nie wydzieła w wypowiedzi osobnych zdań, potęgując wrażenie wiernego zapisu mówionej opowieści, nie przemyślanej wcześniej, lecz powstającej swobodnie w czasie rozmowy. Na ostatnich stronach Tochman przytacza w ten sposób również słowa Wełnickiego, który dopiero na miejscu, w Manili, zrozumiał, że Filipińczycy nie żyją na grobach z powodu tradycji, potrzeby ducha czy przywiązania, a są do tego zmuszeni przez skrajną biedę.

Wyobrażenie na temat trwania innej kultury przy swoich zmarłych przysło. Fotograf mówi o Filipińczykach: „oni tylko pytali, jak mogę im pomóc... a jak oni mogą pomóc mnie, pytałem sam siebie, przyjechałem do nich z drugiego końca globu, żeby coś pojąć, ale nikt mnie nie zrozumiał, biznes chcieli na mnie ugrać” (Tochman, 2013; s. 123). Jest w tej myśli silny rys egocentryczny, jakby podróżnik oczekiwał, że pokazywani na zdjęciach i opisywani w artykułach ludzie byli do brotliwymi szamanami, czekającymi na zagubionego przybysza, aby wyjaśnić mu tajemnice egzystencji. Szczególnie zwrot „biznes chcieli na mnie ugrać” naznaczony jest wyrzutem i zawodem. Wełnicki przed poznaniem manilczyków trwał w popularnym przeświadczeniu, że mieszkańcy krajów uznawanych w Europie za „egzotyczne” są prostymi, bliskimi przyrodzie Roussowskimi „dobrymi dzikusami”, przez swą pierwotność niezdolnymi do niemoralnego postępowania. W kolejnej części wypowiedzi wybija się również stereotyp białego człowieka, który swym przyjazdem odbiera autochtonom dziecięcą niewinność: „ten cmentarz jest skażony dziennikarzami, fotoreporterami z całego świata, najczęściej białymi, wpadają tu na chwilę, a przez chwilę niczego tu nie dostaniesz, więc płacą, wyjeżdżają, przyjeżdżają kolejni, nie ma co się dziwić, że ci z cmentarza tylko wołają, żeby im dać...” (Tochman, 2013; s. 123). Filipińczycy nie są według niego odpowiedzialni za własne działania, zostali do nich „wychowani” przez przybyszów z Europy i Ameryki Północnej.

Podczas pierwszej bytności w Manili Wełnicki szukał w miejscowych tego, co – jak zdawał się wierzyć – mogło pozostać w nich sprzed czasów przybycia kolonizatorów: umiejętności cieszenia się życiem bez względu na cierpienia i niedostatek. Mówi: „...na Onyksie jest wiele kalek, bez nóg, z jakimiś wielkimi guzami, okaleczeni, poparzeni [...], Jo drapie się po

swoich bąblach, narzeka, bywa smutna, nerwowa, ale bywa i wesoła, nie rozumiem tego, czuje się w niej jakąś energię i radość, pomyślałem, że takich ludzi chcę fotografować, chcę robić portrety uśmiechniętym cierpiącym biedakom, fotografować ich kikuty, wrzody i ich szczęśliwe twarze, chodziłem za nimi kilka dni, ale ci, których znalazłem, nie chcieli się uśmiechać...” (Tochman, 2013, 124). Ponownie uwidacznia się jego wiara w różnicę między „nami” a „nimi” - Filipińczycy mają nam zaoferować stoicką pogodę ducha w nędzy, niedostępnej Europejczykowi „energię i radość”, której nie potrafimy zrozumieć, osiągalną tylko dla ludzi spoza naszej cywilizacji, podobnie jak balijskie czy południowoamerykańskie transy. Należy jednak oddać fotografowi sprawiedliwość – podczas kolejnych podróży odbytych z Tochmanem, Wełnicki nie szukał już w swoich modelach prymitywnej radości, lecz raczej próbował za pomocą soczewki aparatu odnaleźć wśród cierpienia i chorób ludzi – jednostki z ich indywidualnymi historiami.

Nie oznacza to, że Wełnicki unikał „ustawianych” fotografii. Widzimy to przede wszystkim w portrecie *Josephine z perłą*, ale też na niektórych pozostałych zdjęciach – dziecka z bliźną, Christiana z czaszką. A także Chińczyka Mariano Sy Chua, którego sesja trwała aż dwie godziny. Mężczyzna jest schorowany i okaleczony, poświęcenie fotografowi tak długiego czasu musiało być dla niego nie lada wysiłkiem połączonym z bólem. Wie o tym Tochman, który opisuje nie tylko historię mężczyzny, ale też pracę Wełnickiego, zachowanie modela, własną interpretację sytuacji. „Na pierwszym planie – twarz mężczyzny, tylko ona jest ostra, raczej tylko jej fragment. [...] Można [...] z całego ciała uczynić mapę do medycznej analizy, pokazać wyraźne symptomy licznych chorób. Ale ten aspekt fotograf zaznacza delikatnie: zniszczone ciało jest poza głębią ostrości. [...] Przegięcie głowy,

powiedzmy uczciwie, wymęczone” (Tochman, 2013; s. 87). Tochman zauważa, że fotografia pokazuje jedynie to, co wskazać chce jej autor. Obojętne, nieobecne spojrzenie, dodające powagi zmarszczki, spocona skóra – obraz może przedstawiać zmęczonego pracą mężczyznę, zatroskanego ojca czy złamanego więźnia. „Złe miejsce, zła historia, nieudane życie i starość. Temat naszego zdjęcia” (Tochman, 2013; s. 88). Temat, można by rzec, dość ogólny; w tym jednak rola Tochmana, aby przybliżyć odbiorcy życie modela.

Kolejna część rozdziału to wypowiedzi Chińczyka, opowiadającego własną historię. Z pewnością rozmowa zajęła kolejne długie kwadransy, męcząc i tak strudzonego człowieka. Nasuwa się pytanie: czy takie zachowanie jest etyczne? Polacy zabierają bezdomnemu jedno z ostatnich chwil jego życia, odbierają spokój, pobudzają tkwiące w nim negatywne emocje, które kumulują się w trakcie opowieści. Jaki jest cel tych działań? Poinformowanie nieświadomych tej nędzy Europejczyków? Przedstawienie bogatej części świata cierpienia mężczyzny? Pomoc, której Sy Chua nie oczekuje? Wzbudzenie w nas wdzięczności za to, co mamy (byłby to niezwykle egoistyczny powód męczenia człowieka)? A może spowiedź – tym właśnie jest bowiem omawiany rozdział. Jego treść różni się od pozostałych, ponieważ Tochman wyjawia, że praca Polaków przyczyniła się do pogłębienia nędzy Chińczyka. „Co mu da nasze zdjęcie? Nic. Przez to zdjęcie Mariano straci dach nad głową” – ta wypowiedź przepełniona jest goryczą, autoironią, a także zwątpieniem w dziennikarską misję. Jedyne raz reporter nazywa mężczyznę po imieniu, jakby poufale lub opiekuńczo, skracając dystans i potęgując emocje.

Co więcej, rozdział ukazuje drugą twarz ubogiej starszej kobiety, opiekującej się wnukami – Pią i Buboyem, których autorzy przedstawili czytelnikowi na początku reportażu (Tochman, 2013; s. 13).

Z fotografii spogląda w aparat dziewczynka o smutnej twarzy i dojrzałym spojrzeniu, nie ma w niej lęku ani nieufności, znudzoną dłonią podpira głowę. „Spójrz na te małpki – mówi blondyn do blondyna. - Czekają na jedzenie” (Tochman, 2013; s. 18) - w rozdziale drugim Tochman skupia się przede wszystkim na ukazaniu bezmyślnego i egocentrycznego zwiedzania ubogiej dzielnicy przez turystów z Europy. Przewodniczy im Edwin N., Filipińczyk oprowadzający wycieczki w ramach inicjatywy True Manila. Zwraca się uwagę czytelnika na uderzający kontrast między bogatym jasnoskórym i biednym ciemnoskórym, na nieświadomym braku szacunku przyjezdnych do mieszkańców Manili, a także na konkretne przejawy nędzy. Jednym z takich wyszczególnionych obrazów jest babcia Pii i Buboya, opiekująca się samotnie wnukami. Nie mówi się o niej wiele, lecz sytuacja jest jednoznaczna – stara kobieta bohaterko utrzymuje sieroty przy życiu.

Dopiero Mariano Sy Chua wskazuje odbiorcy, że uległ on nieświadomemu stereotypowi, przekonaniu, iż biedny jest zawsze cnotliwy. Spojrzenie mieszkańca slumsów różni się od perspektywy przyjezdnego, kierującego się zaczerpniętymi z innej kultury przekonaniami. Tochman i Wełnicki przekonali się natomiast, że pomaganie jest ogromnie trudną sztuką, nie można zajmować się nim bez znajomości stosunków środowiskowych czy charakteru potrzebujących. Polska ingerencja w życie Onyxu skończyła się bezdomnością Chińczyka, a także strachem starej Filipinki o utratę nowego domu.

„Ale jest blizna. Niech się na coś przyda. Choćby jako pretekst do opowieści o krzywdzie dzieci slumsów. Użyjmy brązowego zdjęcia z Onyxu, użyjmy tego malca i rozwińmy temat” (Tochman, 2013; s. 41). „Używanie” bohaterów spotkanych w Manili jest charakterystycznym zabiegiem stosowanym przez Tochmana. W rozdziale trzecim autor „używa”

danych z nagrobka Silverii C. Pury do przedstawienia historii Filipin. Za pomocą trybu przypuszczającego opisuje, co mogłoby spotkać kobietę za życia, choć zna wyłącznie jej nazwisko, wiek w momencie zgonu i datę śmierci. W rozdziale piątym, który rozpoczyna się zdjęciem chłopca z bliźniami, reporter skupia się na dzieciach żyjących w biedzie. Autor, jedna z wyraźnie zarysowanych w tekście postaci, nie kryje wcale tego, że chłopiec jest tylko pretekstem do rozpoczęcia tematu małoletnich manilczyków. O bohaterze nie wiemy prawie nic, znamy jedynie jego imię i nazwisko oraz sytuację, w której został zauważony. Tochman demaskuje również oszustwo zawarte w fotografii: chłopiec nie jest osamotniony, nie kryje się ze swoją bliźną w domu, jak sugeruje obraz. Biega razem z innymi dziećmi, jest też jednym z wielu dotkniętych różnymi skazami i chorobami. Poświęta niezwykłości, która emanuje ze zdjęcia, jest efektem dodanym przez fotografa, iluzją wytworzoną przez scenografię, czasem również przez modela („nazywa się Regollio Lantada i czuje sprawę, rozumie, czego ten duży pan oczekuje. [...] O tę samotność panu chodziło?” [Tochman, 2013; s. 41]; „...masz, bracie, przerażane. Tak sobie myśli fotograf, a model jakby go słyszał. Ani razu się nie uśmiecha” [Tochman, 2013; s. 87]). Interesująca jest symbioza grafiki i tekstu w *Eli, Eli*, ponieważ nie zawsze polega ona na zwyczajnym uzupełnianiu się. Niejednokrotnie Tochman odkrywa przed czytelnikiem przeinaczenia rzeczywistości, jakie Wełnicki wprowadza odpowiednim ustawieniem modela i jego otoczenia.

Podobnie dzieje się w rozdziale jedenastym, gdy na prośbę podróżników trzynastoletni Christian de Leon podnosi ludzką czaszkę, choć w kulturze filipińskiej dotykanie kości jest zakazane, kategorię zabronione. Tochman, pisząc ironicznie, że „głodny model jest do niczego” (Tochman, 2013; s. 94), okazuje

swoje wątpliwości moralne. Wie, że częstuje chłopca tylko po to, aby zdobyć od niego informacje i dobre ujęcie. Zdaje sobie sprawę z tabu, które Christian narusza. Mimo tego nie protestuje. Sytuacja narracyjna jest wyjątkowo bogata w konteksty. Tochman pokazuje chłopca jako zbuntowanego nastolatka: „Tego, kurwa, chcecie? Pieprzy zakazy starych. Trzyma brudną czaszkę z włosami. Niczego się nie boi” (Tochman, 2013; s. 94). Wulgaryzmy potęgują skojarzenie z młodzieńczym gniewem, znanym dobrze w kulturze europejskiej. Autor interpretuje działania Christiana zgodnie ze znanymi sobie schematami zachowań. Czy słusznie? Być może gest chłopca nie jest wcale oznaką buntu, a próbą zatrzymania Polaków, aby kupili mu więcej jedzenia. Wełnicki mówił przecież, że mieszkańcy cmentarza „chcieli na nim zrobić biznes”, oczekiwali z jego strony wsparcia finansowego. Tochman w prześmiewczy sposób przedstawia pomysły reżysera Theodore'a Boborola, snującego historię o Adamie Hearcie dopasowaną do gustów filipińskiego telewidza. A przecież reporter, będący dla nas tłumaczem kultury, postępuje podobnie do reżysera: przepuszcza opowieść przez własny, europejski filtr.

Tochman okazuje najuboższym manilczykom wiele współczucia, chce pomóc, nagłaśniając ich sytuację życiową. Stawia ich w wyraźnym kontraście do Filipińczyków pochodzących z innych warstw społecznych – najbogatszych, należących do klasy średniej. Mieszkańcy Manili, których nie dotknęła bieda, przedstawiani są przez reportera jako jednolita, zdehumanizowana masa. Za jej symbol uważa centra handlowe, do których odwołuje się kilkakrotnie. Spędzanie czasu w sklepach przedstawia w narracji groteskowej i komicznej: „Tłum porzucił już swoich umarłych. Z cmentarza pobiegł do centrów handlowych” (Tochman, 2013; s. 102). Tłum to jednomyślny organizm,

który całe swoje życie spędza w pracy lub w galerii handlowej, ponieważ, zdaniem Tochmana, prawie niczego tam nie brakuje: „Jest żarcie w panierce, masaż pleców i stóp, wybielanie zębów, wybielanie twarzy, szpital i kaplica. Jeszcze tylko cmentarza tutaj brakuje, aż dziw, że nikt dotąd nie wpadł na ten dochodowy pomysł. [...] Można tu kupić i seks, nie ma problemu” (Tochman, 2013; s. 102–103). Tradycję spędzania czasu wolnego w centrach handlowych reporter zestawia ze świętami chrześcijańskimi.

Wielokrotnie podkreślana jest religijność Filipińczyków. Tochman pokazuje jej powierzchowność na dwóch płaszczyznach: pierwsza to niezauważanie nędzy bliźniego, odgradzanie się od niej murem (mentalnym, a momentami również rzeczywistym¹). Drugą jest konsumpcjonistyczne spędzanie świąt. Boże Narodzenie polega wyłącznie na kupowaniu prezentów, ozdób i gadżetów, brakuje w nim refleksji i czasu dla najbliższych – tak samo, jak w krajach europejskich i północnoamerykańskich. Wielkanoc nie wiąże się na Filipinach z zakupami, jednak Tochman ironicznie sugeruje, aby przenieść pasję do ogromnych centrów handlowych, w których jest chłodno i mieści się więcej widowni. Wyspy mają niespotykaną tradycję związaną ze śmiercią Jezusa – w San Pedro krzyżowani są ochotnicy, a obserwatorzy z całego świata zjeżdżają się, aby oglądać ich mękę i dać się spryskać ich krwią. Tochman nie krytykuje również tego zwyczaju

1 Mike Davis pisze: „Obsesja bezpieczeństwa i izolacji społecznej to zjawisko uniwersalne. W Manili, zarówno w śródmieściu, jak i na przedmieściach, stowarzyszenia bogatych właścicieli domów barykadują publiczne ulice i prowadzą krucjatę na rzecz wyburzenia slumsów. [...] Podstawowym zajęciem bogatych mieszkańców jest troska o własne życie, zdrowie i mienie. Swoje domy zamieniają w prawdziwe fortece” (Davis, 2009; s. 167).

wprost, lecz przeplata opis pełnymi kpiny sugestiami (sprzedaży zimnych napojów, świeżej krwi oraz ubrań z wizerunkiem krzyżowanych) i komentarzami nawiązującymi do wydarzeń biblijnych („Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!” komentujące widzów, czekających niecierpliwie na umęczenie).

Więcej niechęci, niż do przeciętych Filipińczyków, Tochman przejawia tylko wobec turystów – gdy pisze o nich w kontekście seksualnym, nazywa ich „białymi starymi wieprzami”, „arabskimi bykami” (Tochman, 2013; s. 102–103), „oblechami” (Tochman, 2013; s. 98). W pozostałych sytuacjach stosuje zazwyczaj nazwy narodowościowe lub ogólne określenie „biali”, sporadycznie również „blondyni”; stają się anonimowymi przedstawicielami nieświadomej i niemyślącej grupy, częstującej ubogich przygotowanym wcześniej przez organizatora wycieczki pożywieniem. Tochman uważa ich zachowanie za cyniczne korzystanie z wrodzonych przywilejów, jakie reprezentuje większość tzw. cywilizowanego świata. Pod maską chęci niesienia pomocy kryje się jedynie czerpanie prywatnych korzyści i uspokajanie sumienia. Jean Ziegler, socjolog i dyplomata, na którego powołuje się w Podziękowaniach Tochman, pyta: „Skąd bierze się ta krótkowzroczność? Jak udaje się zachować tę zimną arogancję, gdy miliony ludzi, demaskując podwójne standardy, jakie stosuje Zachód, podważa jego moralny prymat?” (Ziegler, 2010; s. 146). Tochman staje się częścią owych milionów, i zdaje sobie sprawę z własnej bezsilności i nieistotności. Być może to z nich wynikają wszystkie te silne emocje, które szargają reporterem i przebijają się do jego narracji.

Tochman nie kreuje się na neutralnego sprawozdawcę. Świadomie przedstawia swój punkt widzenia, używa wyrażen o zabarwieniu emocjonalnym i oceniającym, zaznacza swoje wątpliwości i działania. Jego subiektywny punkt widzenia przejawia się również w zabiegu, jakim

jest próba zrekonstruowania słów, które bohaterowie reportażu mogliby wspólnie, jednym głosem wypowiedzieć. Taka domniemana mowa zależna pojawia się na przykład w rozdziale dziewiątym, w którym autor informuje o nieświadomości społeczeństwa w kwestii wirusa HIV. Reporter wymienia niedogodności, jakie pojawiłyby się w życiu chorego po otrzymaniu diagnozy, po czym zdaje się cytować jakieś ogólne przekonanie: „O swoje zdrowie lepiej się więc nie martwić, nie dopytywać. AIDS to choroba prostytutek i pedziów” (Tochman, 2013; s. 83). Po wymienieniu objawów choroby Tochman podsumowuje: „Kogo to tutaj dziwi? Nikogo. To śmiertelne objawy biedy. Po co je nazywać inaczej? Po co umierać w hańbie?” (Tochman, 2013; s. 84) W tym rozdziale odnaleźć można wiele uogólnień, skupiających się wokół niechęci do badań, do świadomości własnego ciała, do rozwoju. Tochman podkreśla, że nikt na Onyksie nie chce się badać, nikt nie ma warunków do odpoczynku w chorobie, każdy się wstydzi, nikt nie edukuje, nikt nie wie, każdy unika wiedzy. Taka generalizacja wobec świadomości całego społeczeństwa jest krzywdząca. Autor usprawiedliwia manilczyków, że to nie ignorancja, a brak dostępu do edukacji i ograniczenie dogmatami religijnymi powodują ich dramatyczną sytuację zdrowotną. Występujące w tekście uogólnienie wyklucza jednak istnienie jednostek, które chciałyby przemówić własnym głosem, a nie podstawionym przez reportera.

Wojciech Tochman emocjonalnie podchodzi do tematu ubogich mieszkających w Manili. Przedstawia swoje doświadczenia, sugerując jednocześnie, że kto nie zwraca uwagi na to, co oburzyło jego, ten jest w błędzie. Czy można się z nim nie zgodzić? Nie dziwi jego oburzenie, spowodowane ogólną ślepotą na nędzę ludzi umierających w cieniu szklanych biurowców. Reporter spędził na rozmo-

wach z mieszkańcami Onyksu długie godziny. Zagłębienie się w historię nędzarzy odróżnia Tochmana od innych, którzy przybywali do Manili. Przywołajmy na finale rozważań, jako kontrpunkt dla reprezentacji Tochmana, punkt widzenia Macieja Paszka, autora *Półprzewodnika* po antypodach. On także widzi biedę, ale raczej nie chce się do niej zbliżyć. „Miasto jest brudne i pełne sprzeczności: bogaci obywatele vs. bezdomni, potężne chmury spalin i towarzyszące im przydrożne wózki z jedzeniem, piękna dzielnica zażytkowa, a za rogiem slumsy” (Paszek, 2018; s. 224) – tak podróżnik podsumowuje swoje wrażenia ze stolicy Filipin.

On również zwraca uwagę na problem zamieszkiwania nekropolii przez najuboższych, jednak nie ma w nim współczucia, emocji tak silnie związanej z Tochmanem i Weńnickim; swój spacer po chińskim cmentarzu w Manili komentuje z przekąsem: „Nekropolia była dość dobrze pilnowana. Niejeden bezdomny miałby chrapkę tu się wprowadzić. Warto dodać, że w pobliżu znajduje się podobny cmentarz katolicki. Podobno również wyjątkowy, ale wiele grobowców przez brak dostatecznej ochrony zostało zniszczonych. Dużo dzieci, głównie sierot, znalazło tam schronienie, ale rząd przymyka oko na ich obecność. W przeciwnym razie musiałby je wyrzucić na ulicę” (Paszek, 2018; s. 224). Paszek traktuje obecność bezdomnych na cmentarzu jako ciekawostkę podróżniczą, a jego troska skierowana jest przede wszystkim w stronę niszczących grobów, których należy bronić przed tymi, którzy nie mają dachu nad głową ("brak ostatecznej ochrony"), jakby zmarli byli ważniejsi od żyjących.

Na tle tego porównania zobaczyć można wyraźnie, że siłą Wojciecha Tochmana jest jego wrażliwość, a także wyczulenie na ludzkie problemy i tragedie, które reporter traktuje z szacunkiem i empatią. Choć równoległe zdaje się twierdzić, że jego zawód zmusza go do przekraczania

niektórych granic.

Literatura:

- Belo J., 1993. *Trans na Bali* (1, 2, 3), „Dialog”, nr 5, 6, 7.
- Davis M., 2009. *Planeta slumsów*, Warszawa.
- Paszek M., 2018. *Półprzewodnik po antypodach. Singapur. Maleszja. Filipiny*, Gdynia.
- Tochman W., 2013. *Eli, Eli*, Wołowiec.
- Ziegler J., 2010. *Nienawiść do Zachodu*, Warszawa.

Notka o Autorce: Hanna Czaja – absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim. W 2020 roku obroniła pracę magisterską z zakresu geopoetyki i studiów miejskich na podstawie literackiego obrazu Biskupiej Górki w Gdańsku. Pełni funkcję lokalnej przewodniczki po zabytkach opisywanej dzielnicy. Zainteresowania językowym obrazem świata w polszczyźnie oraz obrazem Polski i Polaków w oczach cudzoziemców rozwija w pracy lektorki języka polskiego jako obcego.